

A black ribbon graphic with white text. The ribbon is curved and has a 3D effect. The text is centered on the ribbon.

Kopidoł
i Kwiaciarczyka

KAZIMIERZ
SZYMECZKO

Kopidoł
i Kwiaciarczyka

Kazimierz Szymeczko
Kopidoł i Kwiaciarczyka

© by Kazimierz Szymeczko
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-220-7

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2014
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

*Chłopakom z naszej dzielnicy
i dziewczynom (...) też.*

Małgosia, czwartek, 28 czerwca, 5.40

Przez chwilę walczę ze sobą, ale nawyk podglądacza wygrywa. Włączam laptopa i loguję się na kolejnych portalach społecznościowych. Załamka. Marzena siedzi na wszystkich. Zastanawiam się, czy niedawno weszła, czy rezyduje bez przerwy od wieczora. Wyłażę z wirtualnego świata zła na siebie. Starsza siostra. Co jej powiem? „Weź się za życie, zanim życie weźmie się za ciebie?”. Jest pełnoletnia i podobno wie, co robi. I tak jest na urlopie macierzyńskim. A może już na wychowawczym?

Sprawdzam językiem, czy wyjęłam aparat ortodontyczny i przypominam sobie, że od kilku miesięcy go nie potrzebuję. Siła przyzwyczajenia. Do wirtualnej siostry też powinnam już przywyknąć.

– Internecie, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie? – rzucam pytanie magicznemu lusterku monitora, ale ten przezornie gaśnie. – Słuszna decyzja. Lustra prawdy dzielą się na rozropne i rozbite. – Zamykam okno na świat. – I tak wiem, że jestem najpiękniejsza w tym pustym pokoju. Jak będziesz grzeczny, to ci kupię futerkową nakładkę na obudowę. Ale nie ma nic za darmo. Zainstaluję ci program, który co kwadrans będzie mówił, że Małgosia jest najpiękniejsza. A jak nie, to *delete*, *restart* i prądem po dysku. Aż się nauczysz. – Bębnę palcami po plastiku.

– Rozmawiasz z Marzeną? – Mama zagląda z kuchni.

– Zagadałam, ale nie widzę jej na komunikatorze – kłamię.

Innych pouczam, żeby nie plotkowali, a zostałam przyłapana na gadaniu z wyłączonym komputerem. Może jestem bardziej rąbnięta od Marzeny?

Patrzę przez okno na targowisko. Białe dostawcze renault już stoi za naszą budką. Ojciec wrócił z towarem. Chyba mignął mi też Turek, ale głowy nie dam. Wchodzę do kuchni i czekam, aż mama zapyta, czy idę na targ.

– Rękawiczki wyschły. Wyprasować? – pyta, nie przerywając smarowania chleba masłem.

– Co? Aha... Nie ma pośpiechu. – Życie nie przestaje mnie zadziwiać. – Idę na targ. Podrzucić coś?

– Ojciec dzwonił, że zostaje, bo trafił fiołki w doniczkach na Czeczeniu i chce sprzedać, ile się da, zanim będzie upał. Zjesz coś?

– Wezmę kromkę na drogę. Pomogę im trochę. I tak się wybieram po bluzkę.

– Zanieś chleb i powiedz, że przyjdę przed ósmą. – Podaje mi dwie jednakowe porcje zawinięte w papier śniadaniowy.

Całuję ją w policzek. Staromodne i z roku na rok coraz bardziej niezręczne, ale wiem, że to lubi. Ja też, byle nie przy ludziach.

Kolejka tylko w piekarni. Wątpię, czy przy tej pogodzie jest wielu chętnych na gorące bułeczki prosto z pieca. Co innego chleb – kupują go faceci wracający z nocnej zmiany i wcześniej wstający emeryci. O dziesiątej przez bazar będą się przewalały tłumy, ale na razie nie ma tłoku. Żaneta już rozpakowała pod namiotem swoje wielobranżowe mydła i powidła. Macham jej ręką. Nie widzi. Może to i lepiej. Zanim dotrę do naszej budki, jeszcze z piętnaście razy będę musiała powiedzieć „dzień dobry”. Do pani Marleny nawet nie kiwam, bo mocuje się z kra-

townicą i naręczem dzisiejszych gazet. Czasami kupuję u niej książki dla Nikoli.

Targowisko jest w połowie murowane. Dwadzieścia punktów całorocznych. Drugie tyle metalowych konstrukcji ocieplonych styropianem, w których też da się handlować zimą. A do tego kolorowe namioty, stelaże, tymczasowe stoiska ułożone z kilku skrzynek po owocach. No i pani Karolina, która ma tylko taborecik. Zawsze w tym samym miejscu, pod żywoplotem. Siedzi tam, odkąd pamiętam, jak bogini płodności, niewiele od niej młodsza i podobnej tuszy. Sprzedaje, rzecz jasna, jajka.

– Dzień dobry. Ma pani bluzki, o które prosiłam? – przystaję przy kiosku pani Weroniki.

– Mam trzy rodzaje, Gosiu, ale jeszcze nie rozpakowałam. Pomóż mi, dziecko, z tą markizą, bo zapowiadali upał...

– Ja to zrobię – podchodzi młody sąsiad w bokserce i krótkich spodenkach.

Prośba niby do mnie, ale Łukasz handlujący obok dzinsami od razu łapie, że trzeba pomóc. Za godzinę nad całym targiem będzie wisiał wielobarwny latający dywan z brezentu, namiotowych tropików i folii. Wysunięte, spadziste dachy i markizy nie wystarczają przy takiej pogodzie. Przez dwadzieścia lat istnienia bazar dorobił się tylu wynalazków i ulepszeń, że czasami tylko sprzedawcy wiedzą, do czego służy jakiś hak, łańcuch, przycięta deska, stalowa linka czy dziura. Wietnamczycy i Ukraińcy też dołożyli po cegiełce do tej wieży Babel.

– Nie poganiam. Będę mogła przymierzyć w domu? – pytam, choć wiem, co pani Weronika odpowie.

– Dobre z ciebie dziecko. Oczywiście, że możesz zabrać do domu. Lepiej tak, niż na spocone ciało. Ludzie czasami tyle wybrudzą i wygniotą, że wstyd pokazać towar następnemu.

– Mam dobre dzinsy z Tajlandii. Tanio. Jutro będę miał bermudy i rybaczek. Przerzucam się na letnią kolekcję – mruga Łukasz.

– Będę pamiętała. A co, szukasz modelki? – śmieję się.

– Taaa... Ja cię wypromuję na miss mokrego podkoszulka, a potem Turek albo twój ojciec przemeblują mi facjatę. – Robi niby wystraszoną minę.

– Za darmo nikt ci nie przyłoży – ucinam. – Artur jest bardziej pokojowy od gołąbka pokoju, a tato nie biją cudzych dzieci.

– Nie jestem dzieckiem, ani cudzym. – Udaje, że się obraża.

Stale coś udaje, ale towar ma dobry. Udaje, że nie przepada za panią Weroniką, a przecież nie są dla siebie konkurencją. Dwie odzieżówki, ale różne asortymenty. Klientów starczy dla każdego.

– No to nie musisz się nikogo obawiać. Najwyżej kontroli, która zapyta, skąd masz letnią kolekcję – śmieję się i macham na pożegnanie.

Mijam kolejne budki, powtarzam w kółko „dzień dobry” i „cześć”. Najgorsze jest pierwsze przejście między znajomymi, kiedy ze wszystkimi trzeba się przywitać. Zasycha w gardle od gadania, a od kiwania głową i machania ręką można dostać zakwasów. Ojciec już zadbał o cień, bo niebawem będzie mu niezbędny. Jedna trzecia naszego zieleniaka tonie w kwiatkach.

– Cześć, tato. Podobno pojechaliście na Obroki? A kwiatki same was znalazły? – Podaję mu chleb.

– Na warzywnej poszło szybko, no to podskoczyliśmy na Czeczenie. Zdążyliśmy jeszcze na giełdę kwiatową w Tychach. Gdy się wyjeżdża w środku nocy, to nie ma sensu wracać z polową bagażnika. Dobry towar zawsze się sprzedaje.

Kiwam głową i nie komentuję, że towar z Czeczenii zawsze pozostaje zagadką. Trafiają się okazje, ale najlepiej sprzedać wszystko tego samego dnia. Kto się nie zna, będzie wyrzucał na

śmietnik zwiędłą zieleninę. Ojciec ma oko, więc zwykle trafia na tanie i świeże. A kwiatkom nie potrafi się oprzeć.

– Co to za fiołki? Wyglądają bardziej jak bratki. – Oglądam miniaturowe doniczki z rozsada.

– Krzyżówka. Były za grosze, po dwanaście na paletce, to wzięłem dziesięć skrzynek. Sam się zdziwiłem, że o tej porze roku, ale to dobry towar.

– I ładny – wzdycham. – Mama się ucieszy, że ma czym handlować – dodaję złośliwie.

– Cześć! – Artur wrócił z dwoma dziesięciolitrowymi bańkami na wodę.

– Cześć, masz tu chleb. – Podaję mu jego porcję.

– Też coś dla ciebie mam. – Uśmiecha się, jak to on.

– Co? – Robię wielkie oczy.

– Jabłko. Specjalnie wybrałem. – Podaje mi rumiany owoc i sam się rumieni.

No i to jest cały Turek. Gigantem myśli nigdy nie będzie, ale serce ma złote. Mieszka kilkaset metrów stąd, w Caritasie. A na targu jest, odkąd pamiętam. Nie ma szczęścia do stałej pracy, a tu czuje się jak ryba w wodzie. Podobno na początku ludzie gadali, że wysługujemy się pocziwym głupkiem, ale potem plotki ucichły. Turek jest silny i solidny. Pracuje, bo lubi, a ojciec płaci mu taką stawkę, jaką musiałby dać przypadkowemu pomocnikowi.

– Śliczne jabłko. Dziękuję. – Biorę owoc do ręki i wącham.

Udaję, że nie widzę dwóch skrzynek takich samych rumianych idaredów pół metra ode mnie. Nie takich samych. Wiem, że to jedno jabłko Turek Arturek wybrał specjalnie dla mnie. Pewnie obejrzał ze dwadzieścia, zanim podjął decyzję.

– Opowiem ci kiedyś o takiej jednej Helenie, co dostała złote jabłko od królewicza Parysa – obiecuję mu. – Twoje jest lepsze, bo z powodu tego złotego wybuchła wielka wojna.

Turek myśli nad czymś intensywnie.

– Nie jestem królewiczem. Królem też nie. Król Artur był królem, ale to inny Artur – przerywa, żeby sprawdzić, czy został dobrze zrozumiany. – Ale węzem też nie – dodaje po chwili. – Wąż dał jabłko Ewie, a Ewa Adamowi i też było nieszczęście – tłumaczy poważnie.

– Tak to jest z jabłkami. Trzeba uważać, od kogo się dostaje. Ale od ciebie – z przyjemnością.

– Wiem. – Wyczerpał zasoby konwersacji na najbliższy kwadrans i zajął się przelewaniem wody do konewki.

– Nie lej po listkach – odruchowo przypomina ojciec.

– Masz nas za głupich? – odpowiadam za siebie i Artura.

– Głupi to ja jestem, że nie wziąłem więcej – mruczy tato i zaczyna ustawiać pęki róż w wiaderkach.

Fiołko-bratki podlane. Ceny na warzywach i owocach opisane. Paprotka i gipsówka w jedynym ciemnym i wilgotnym kącie. Oni mają czas zjeść, ja wracam po bluzkę.

Ojciec nie nalegał, żebym w szkole powiedziała, że ma ładne i tanie róże. Jutro koniec roku szkolnego. Kilku koleżankom powiem. Inne same się dowiedzą. Z reklamą są czasem kłopoty. Gdy ktoś pyta – mówię. Sama nie zaczynam tematu, bo potem słyszę za plecami, że Straganiarka nagania ojcu klientów.

Wiktor ma gorzej. Oboje dobrze się uczy my. Jutro wyniesiemy ze szkoły świadectwa z paskiem i po kilka dyplomów i książek. Listy gratulacyjne dla rodziców i inne miłe upominki. Pochwała nic nie kosztuje, a zasłużona – cieszy. A że tarcia między rodzinami na etatach a prywatną inicjatywą zawsze były, to inna bajka. Ojciec Wiktora jest właścicielem zakładu pogrzebowego. Branża stara jak świat, ale dla niektórych wieczny temat do głupich dowcipów. Wiktor nie daje się sprowokować. Fajny jest. I, prawdę mówiąc, przystojny. Te niebieskie oczyska... Tyl-

ko trochę zamknięty w sobie. Nie mam zamiaru otwierać go na siłę. Jutro razem będziemy kroczyli w poczcie sztandarowym. No i dlatego potrzebna mi jest biała bluzka.

Jeden model za bardzo przypomina mi to, w czym emerytki paradują na nabożeństwach majowych. Dwa pozostałe prezentują się korzystniej. Obiecuję pani Weronice, że za pół godziny wrócę z gotówką. Wierzy na słowo. Do bloku mam sto metrów. Przepycham się na tyły straganu, wychodzę między furgonetkami parkującymi na chodniku, który po tej stronie ulicy Brodzińskiego pieszym służy tylko z nazwy. Targowisko wchłonęło go i zamieniło w parking dostawczy. Przebiegam między samochodami, mijam plac zabaw i już.

– Zaraz wychodzę. Radzą sobie? – wita mnie mama.

– Wytrzymają, ale pewnie będą chcieli odespać. Pół nocy jeździli za towarem.

– Halina dzwoniła, że może przyjść. Damy radę. Nie musisz pomagać. Jeszcze byś jutro miała żałobę za paznokciami, pani absolwentko. – Mierzwi mi włosy.

– Do szkoły zakładałam rękawiczki. – Poprawiam włosy i zmykam do łazienki.

Jeśli pogoda się nie zmieni, to będę musiała brać prysznic trzy razy dziennie. Sama przyjemność, pomijając suszenie włosów. Z ręcznikiem na głowie przymierzam bluzkę. Od razu wiem, że to ta. Średniej wielkości kołnierzyk, rękawy do łokcia, z mankietami. Co trzeba – lekko usztywnione, reszta w miarę luźna. Wykładana na spódnice. No i tak ma być. Ładny ciuch za małe pieniądze. Przy odrobinie szczęścia posłuży mi do matury. Trzy lata temu kupowałam podobną i byłam przekonana, że oblecę w niej wszystkie gimnazjalne akademie. Dzień przed egzaminami końcowymi okazało się, że rosnę, a stara bluzka była tego najlepszym dowodem. Biustu już się nie wstydzę. Nawet mi się podoba, ale jeśli przy wdechu człowiek prawie strze-

la guzikami, to najwyższa pora zmienić łań. Biała koszulka, czyli *camisa blanca*, jak powiedziałby Antonio Banderas, gdybym miała okazję z nim porozmawiać, jest uszanowana, bo rzadko była noszona. Na co dzień preferuję trykotki i dżinsy, ale nie ma sensu żałować. Wyrosłam ze szkoły i z ubranka. Nawet nie mam nikogo w rodzinie, komu mogłabym sprezentować ten ciuszek. Nikola dorośnie do niego za jakieś dziesięć lat.

– Jak wyglądam?

– Staro. Co najmniej na siedemnaście.

– Dzieci rosną, mammo.

– Ano...

Ano. Marzena ma dwadzieścia dwa lata i dwójkę dzieci. Patryk dwadzieścia, z czego ostatnie dwa spędził w Hiszpanii. Buduje gigantyczne kurniki według nieomylnych norm europejskich. Przyjeżdża do domu, opowiada, wymienia euro na złotówki, część lokuje, część przepuszcza i znika, bo kury czekają na kolejne dyrektywy. A teraz mała Małgosia w nowej bluzce wygląda co najmniej na siedemnaście. No i z czego tu się cieszyć? Może z Nikoli i Maksia, bo rodzice są od wychowywania, a dziadkowie i nastoletnie ciotki od rozpieszczania. Cieszymy się z tego, co mamy...

– Powiedziałaś Arturowi, że Parys podarował złote jabłko Helenie – przypominam sobie.

– A nie podarował?

– Dał je Afrodycie, za obietnicę zdobycia Heleny – wyjaśniam.

– Prawda. Ale kto by to wszystko spamiętał. Muszę się za siebie zabrać i trochę poczytać. Mitologia równie dobra jak wszystko inne. Może i lepsza, gdyby się tak nie mordowali. Mam w domu Parandowskiego?

– Mam dwie. Różnią się tylko okładkami. Koleżanka oddała mi tę, którą pożyczyła dwa lata temu. Jak myślisz, okłamałam Turka?

Zaskoczenie na moment odbiera jej mowę i blokuje ruchy.

– A co mu powiedziałaś?

– Że Parys dał jabłko Helenie! – zaczynam się denerwować.

– Święci pańscy! Ty to masz problemy. Turek i tak nie odróżnia Ateny od Heleny. Prawdę mówiąc, w tym przypadku niewiele się różnimy. Większość ludzi nie zauważyłaby tego uproszczenia.

– Mam na imię Małgorzata, a nie Większość.

– Przejeżdż się po południu do Rudy i pogadaj z babcią. Nie mam siły ci tłumaczyć, że takie myśli to nadwrażliwość, od której już tylko dwa kroki do choroby. – Przytul mnie. – Naprawdę cię to trapi?

– Wiesz, jak łatwo go oszukać. Dlatego tak mi zależy, żeby być wobec niego w porządku...

– Arturek to prawie rodzina. Nie zrobiłaś nic złego.

Przypominam sobie, że rano ją okłamałam, bo było mi wstyd, że gadam z wyłączonym laptopem. Sumienie jakoś mi tego nie wyrzuca. Ale Turek dał mi najpiękniejsze jabłko z całej giełdy. I opowiedział o wężu w ogrodzie. Wiem, że nie zainteresowałyby go dzieje trzech bogiń i Parysa, ale trochę mi przykro, bo zasługuje na... Sama już nie wiem.

Wiktor, czwartek, 28 czerwca, 7.00

Przez drzwi pokoju słyszę, że ojciec piętro niżej rozmawia przez telefon. Nie kłóci się i nie krzyczy. Wyjaśnia, co i jak ma być. Rzadko przyjmuje do wiadomości, że mogłoby być inaczej niż on uważa. W środowisku ma opinię twardziela, ale ludzie lubią z nim pracować, bo dotrzymuje słowa. Od innych wymaga tego samego. Jego zdjęcie można by wkleić do encyklopedii

przy hasle „tyran” albo „monarcha absolutny”. Znam go trochę lepiej niż inni, ale jeszcze kilka lat upłynie, zanim go rozgryzę. Jakby kilka osób siedziało w jednym ciecie.

– Panie Piotrze, słyszę, co pan mówi, i odpowiadam jasno. Może pan więcej do mnie nie dzwonić. Ani teraz, ani za miesiąc, ani za rok. Nie obchodzi mnie, czy pan pije, czy już pan przestał. Zawalił pan termin. Miał pan być za kwadrans dwunasta na cmentarzu, a moi ludzie o jedenastej parzyli panu kawę na wytrzeźwienie i pomagali się ogolić. Podczas ceremonii kierowca trzymał pana za pasek, bo tak się pan chwiał, że omal nie wpadł pan do grobu. Zgoda. Fakt. Nie, nie fałszował pan. Tym razem jeszcze nie. Ale w szczytowej formie pan nie jest, bo pan chleje. Moi ludzie oderwali pana od butelki, odtrąbił pan chałturę na pogrzebie i poszedł pan ubzdryngolić się do reszty. Nie interesuje mnie, jak będzie następnym razem, bo nie będzie następnego razu. Nie mam do pana zaufania. Żegnaj i niech pan nie dzwoni. Chyba że będzie panu potrzebna kasa na gorzałę. To zadzwoń pan. Mogę odkupić pana trąbkę. Miłego dnia życzę.

Klik. Sięga po papierosa.

– Ostro. – Opieram się o drzwi do gabinetu.

– Jest dorosły. Raz już dostał szansę. Okazało się, że niepotrzebnie.

– Z czego będzie żył? Jest artystą muzykiem. Łatwo pracy nie znajdzie.

– Jest alkoholikiem. Jeśli będę potrzebował artysty, to zadzwonię do filharmonii. Albo się zrujnuję i wynajmę maestro Wodeckiego. Na co dzień potrzebny mi solidny rzemieślnik, który potrafi zagrać na ceremonii. Ma być godnie i na temat.

– „Szef ma zawsze rację”?

– Tak. I szef wie, że jeśli pan Piotr sam sobie nie pomoże, to po nim. Niech wpadnie za pół roku z zaświadczeniem od psy-

chologa i aktualną legitymacją z koła Anonimowych Alkoholików, to może pogadamy. Nie obiecuję.

– Też popijasz.

– Tak – przyznaje otwarcie. – I tłumaczę sobie, że wieczorem trzeba odreagować stres. Przy tomiku wierszy, starych płytach, z drinkiem w rękę. Może za parę lat będę wyglądał jak nasz były trębacz. Dlatego z góry zapowiadam, że każdy, kto będzie się wtedy nade mną użalał, dostanie po pysku. Zamówiłem tę usługę u znajomego boksera. Zapłacę mu z góry, a jak będzie trzeba, pójdziemy do notariusza. Każdy jest kowalem swojego losu.

Kiwam głową, bo nie wiem, do jakiego stopnia żartuje. Może wcale? Czyta wiersze, szuka w internecie starych filmów i piosenek, zgrywa na płyty jakieś fragmenty starych przedstawień teatrów telewizji. Ma swój świat po godzinach i wtedy nie musi być niczym szefem i twardzielem. I jest dobrym ojcem. Do kolejnego telefonu. W tej branży trzeba być dyspozycyjnym. Ludzie umierają w najmniej oczekiwanych miejscach i momentach. Wtedy dzwoni się do zakładu pogrzebowego i słyszy się, że wszystko będzie załatwione jak należy.

– Chodź, dziedzicu – zagarnia mnie ramieniem. – Muszę cię przyuczać do zawodu, bo to wszystko kiedyś będzie twoje. Do grobu tego nie zabiorę. Pracownicy się schodzą. Trzeba im wynaleźć jakąś robotę, bo się zbisurmanią.

Na ganku za domem siedzą już pan Antoni, Daniel i Naoczny. Ten pierwszy nie jest zatrudniony na umowę. Emerytowany technik budownictwa. Dorabia na zlecenie. Ma z tego prawie drugie tyle, co z ZUS-u. Daniel zatrudniony na określonych warunkach. Ojciec go sprawdza. Naoczny na pełny etat. Nazywa się Zaręba, ale taki z niego gawędziarz, mitoman i świadek naoczny, że przewisko przyłgnęło do niego na amen. Ostatni pracownik jest gdzieś w okolicach Tarnowa. Zdarza się, że ktoś

przyjeżdża do krewnych i tu umiera. Wtedy trzeba obsłużyć pogrzeb gdzieś na drugim końcu Polski. Sabina się nie liczy, a Julia przyjdzie po dziesiątej.

– Dzień dobry, panie Antku. – Ojciec podaje mu dłoń. – W szufladzie pod ladą są dwie teczki. Zacznie pan od żółtej. Wszystkie dane są w środku.

Pan Antoni kiwa głową. Ma ładny charakter pisma i połowa jego roboty to wypisywanie szarf i tabliczek. Uczy mnie kaligrafii.

– Cześć, Daniel. Auta gotowe? – Ojciec unosi dłoń, ale nie podaje.

– Lepsze niż fabryczne. – Młody nie zraża się.

– Umyte?

– Umyte i nawoskowane.

– No to bierz się za kosiarkę i skoś trawnik po prawej. Jak skończysz, to podsypiesz żwiru od frontu i przetrzesz pomniki. Woskować nie musisz.

Usta najmłodszego pracownika na moment się zwężają. Potem się uśmiecha.

– Jasne.

– Naoczny – ojciec patrzy na ostatniego – dopilnuj wszystkiego na jedenastą. Dodatkowi karawaniarze mają być gotowi pół godziny wcześniej. Pojadę mercedesem. Po pogrzebie podskoczymy po bezdomnego. Pochówek na koszt miasta.

– Szefie, to chyba nie ten zamarznęty z lutego? – Naoczny nie potrafi przepuścić okazji do żartu.

– Nie. Piranie go zjadły – podpuszcza go ojciec.

– Kurde! Jak mówię, że w Wiśle żyją piranie, to chyba wiem, co mówię. W głównym wydaniu *Wiadomości* widziałem, na własne oczy! – Jego ramiona rozjeżdżają się w geście „taaaaa ryba”.

Wszyscy się śmiejemy. Naoczny najgłośniej.

– Daniel, nie ruszaj trawy po lewej. Sąsiad przyjdzie po południu z sierpem i nakosi sobie dla królików. Nie chce sieczki z automatu.

– Jasne.

– No to do roboty, panowie. Sabina otwiera rudzką filię o dziewiątej. Pilnych telefonów nie było. Opel wraca późnym popołudniem. Będę na parterze. Wiktor, na którą idziesz do szkoły?

– Za godzinę.

– Na razie masz wolne.

Wszyscy rozchodzą się do swoich zajęć, więc zostają bezrobotny.

Nasz dom ma dwa piętra. Parter i połowa piwnicy to pomieszczenia firmy. Reszta jest „cywilna”. Nie licząc gabinetu ojca, który częściowo pełni funkcję centrum dowodzenia. Biurko jak stodoła, ogromny monitor, olbrzymi notes i kasa ogniotrwała pomiędzy półkami z segregatorami. Klubowe fotele czasami służą ważniejszym interesantom. W głębi stolik i kanapa, a przed nią regały wypełnione książkami i płytami oraz kino domowe, na którym ojciec ogląda czasami stare filmy. Nie da się bardziej oddzielić pracy od życia bez zrywania parkietu i stawiania ścianki działowej. Siadam w fotelu szefa. Tak. Kiedyś to wszystko będzie moje. Czy mi się to podoba, czy nie. Jeden z listów leży poza przegródkami na korespondencję. Sięgam po niego z irracjonalną nadzieją, że mama napisała. To głupie, bo dzwoni co jakiś czas. Po co miałyby smarować na papierze? Raz wysłała widokówkę z Ankary. Reszta informacji i zdjęć przychodzi na skrzynkę mailową. Od czasu do czasu. Ale i tak mam nadzieję.

Pismo urzędowe, ale też ciekawe. Adresowane do ojca, ale dotyczy mnie, więc nie mam wyrzutów sumienia. Sąd Rejonowy w Rudzie Śląskiej... Wydział... w składzie... orzeka o uchy-

leniu nadzoru kuratora wobec nieletniego Wiktora Hetmanio-ka z dniem... zakończenia okresu próby... w zawieszeniu na dwa lata... pieczętka i podpis.

Sprawa z pierwszej gimnazjalnej uznana zostaje za niebyłą. Nie jestem pewien, czy nazywa się to wymazanie kary, czy zatarcie, ale na to samo wychodzi. Kurator pokazywał się u nas sporadycznie i nie był uciążliwy, bo jestem grzecznym chłopcem z dobrego domu. A dwa lata zawieszenia minęły. Dwa tygodnie temu, wnioskuje z daty na piśmie, ale data na stemplu jest świeższa. Ojciec mógł coś wspomnieć, ale uznał, że nie jest to wiadomość dnia.

Schodzę do piwnicy. Stoi tu mały atlas, nieużywany jak kilkanaście innych zabawek dla dużych chłopców. Wiatrówka, tarcza do rzutek, lekkie rękawice bokserskie i ochraniacze, masywny, drewniany zegar do mierzenia czasu lotu gołębi pocztowych, zapasowy rower górski, wzmacniacz i gitara elektryczna, radioadapter, magnetofon szpulowy i stopy winylowych płyt. Do tego złożony stół do ping-ponga i basen ogrodowy, dorzucony tu zeszłej jesieni. Atlas nie jest zakurzony. Ćwiczę prawie codziennie. Nie forsuję się, ale powoli szlifuję formę. Rozbieram się bez pośpiechu i zakładam starą koszulkę. Kładę się, chwytam drążek i wsuwam stopy pod balast. Powoli. Raz, dwa, raz, dwa, raz...

Ciężarki lekko postukują. Jest czas, żeby w spokoju pomyśleć. Raz, dwa, raz...

Małgosia, czwartek, 28 czerwca, 10.00

Trzy pary białych rękawiczek zostawiam w sekretariacie. Mówię głośno i wyraźnie, że to trzy pary białych rękawiczek dla poczty sztandarowego. Powtarzam i dodaję, że należy je

schować do szuflady. Sekretarka w każdej ręce trzyma inny dokument. Nie powinnam teraz obarczać jej trzecim tematem, bo mózg jej się zawiesi i biedaczka wrzuci cokolwiek do niszczar-ki do papieru, żeby się odblokować. Pod koniec roku szkolnego nawet ludziom w miarę inteligentnym trochę odbija. Nie postawiłabym tej kobiety za ladą w godzinach szczytu. Za duże ryzyko dla niej i klientów, że o manku w kasie nie wspomnę. Bazar to nie szkoła. Na żadnym straganie nie widziałam kartki „Wejście przez sekretariat. Proszę podchodzić pojedynczo”.

Wiktor jest już w sali gimnastycznej. Omawia coś z chłopakiem, który właśnie ukończył z wyróżnieniem pierwszą klasę. Pewnie tłucze mu do głowy, że zwrot w tył wykonuje się przez lewe ramię. Brunet, o wyraźnej linii brwi, symetrycznej twarzy i sylwetce. Opalony, średnio wysoki, no i te ciemnoniebieskie oczyska. Wdał się w ojca, tylko kolor oczu ma inny, jedyny w swoim rodzaju. Udaję, że go nie widzę. Chyba mam żal, że nie zaprosił mnie przynajmniej na spacer. Miły, koleżeński, uczynny, opiekuńczy i zazwyczaj małomówny do bólu. Podchodzę bliżej, bo sala duża, ale schować się nie ma gdzie.

– Cześć.

– Cześć. Ty po prawej, Baśka po lewej. Dzisiaj wchodzimy z samym drzewcem.

– Rozumiem. Rękawiczki są w sekretariacie.

– Cześć! – podbiega Basia. – Wyłazimy. Wchodzimy na sygnał. Wiktor, poprowadzisz?

– Jasne.

No i takie to są rozmowy. Ale niektóre dziewczyny nie odpuszczają i w końcu któraś go poderwie. Gejem raczej nie jest.

Wiktor stoi na baczność z tyczką i czeka. Baśka pyta mnie, czy biało-czerwone szarfy nosi się na prawym ramieniu, czy na lewym. Odpowiadam, że wszyscy powinniśmy nosić jednakowo.